

## ***Szafa pełna futrzanych okryć w Obozie Herosów***

Nie potrafiłem się ruszyć. Stałem oniemiały, nie wiedząc co robić. Zerknąłem na mojego przyjaciela. Wyglądał jeszcze gorzej. Wargi mu drżały, oczy miał rozszerzone do granic możliwości, a kopyta cicho podzwaniały. Nie potrafiąc go pocieszyć, spojrzałem na naszego nauczyciela, starego czarodzieja Gandalfa. Miał równie niewyraźną minę.

- Beee – wyrwało się Groverowi. Czasami mu się to zdarza, gdy jest bardzo zdenerwowany. Jest przecież półkoźłem.

- Dobrze, młodzi panowie – rzekł Gandalf – pora działać.

Zatarł ręce i spojrzał przed siebie. Odwróciłem głowę w tym samym kierunku, mając nadzieję, że zobaczę tym razem coś innego. Zaciśnąłem oczy, po chwili znowu je otworzyłem. Nic się nie zmieniło. Miałem nadzieję, że w jedynym miejscu, w którym czuję się bezpiecznie, nie będę się musiał niczego obawiać. Myślałem, że Obóz Herosów to mój drugi dom. Do tej chwili.

Przede mną stała ogromna szafa pełna futrzanych okryć. Wiem, co sobie myślicie: Percy Jacksonie! Jesteś przecież synem Posejdona, a boisz się ubrań!?

Nie zrozumcie mnie źle, ale jestem też tylko chłopakiem. Takim jak wszyscy. Czyli takim, który nie zwraca większej uwagi na ubiór. A teraz mam za zadanie poradzić sobie z wielką szafą ciuchów, która ni stąd ni zowąd pojawiła się na środku naszego obozu. Na dodatek futra poruszyły się, a pomiędzy nich dał się słyszeć słodki dźwięk.

- Na Zeusa! – krzyknąłem (w oddali usłyszałem grzmot pioruna). - Śpiewające futra! Tego nam brakowało!

Na muzyce znam się jeszcze mniej niż na modzie.

- To Kosogłos... - szepnął Grover.

- Panowie... wchodzimy – zdecydował Gandalf ruszając przed siebie.

Pobiegliśmy za nim, przepychając się przez gęste futra. Gryzące włosy wchodziły mi do oczu, uszy, nosa. Niezbyt przyjemne uczucie. Nic nie widziałem, a po chwili poczułem przejmujący chłód i upadłem na twarz, cały zanurzając się... w śniegu.

Śniegu!? Przecież w Obozie Herosów było lato! Jak to możliwe! Podniosłem się powoli i zobaczyłem Grovera, również całego utarzanego w śniegu. Czarodziej stał obok, mrużąc oczy. Spojrzałem w tym kierunku co on.

Kilka metrów przed nami stał Grover. To znaczy... idealna kopia Grovera. Prawdziwy Grover stał obok mnie trzęsąc się z zimna w pomarańczowej koszulce obozowej. Grover-bis, na którego patrzyliśmy zdumieni, był bez koszulki. Jedynym ubraniem, które miał na sobie, był długi szal. W rękę trzymał czerwoną parasolkę. Zachowywał się jakby w ogóle nie było mu zimno.

- Dzień dobry – powiedział drżącym głosem. – Nazywam się Tumnus.

Uklonił się nisko przed Gandalfem i spojrzał na niego z obawą. Grover przyglądał mu się w niemym zachwycie. Ciarki przeszły mi po plecach. Zimno robiło swoje. Wszyscy troje trzęśliśmy się z zimna, tylko pan Tumnus przyglądał nam się ze zdziwieniem. Grover zerknął w stronę szafy.

- Mam pomysł – zawołał. - Dobrze, że wiem jak zadbać o właściwy strój! – mrugnął do mnie. Jako jedyny chłopak nie opuszczał zajęć Cinny o takiej właśnie tematyce. Wyciągnął z szafy trzy płaszcze i nakrył nas nimi. Tak, to był zdecydowanie dobry pomysł. Futra dobrze grzały.

Chciałem podziękować przyjacielowi, ale wyglądał na bardzo zaniepokojonego. Nagle drgnął, tak samo jak jego kopia. Zamrugnął oczami. Pan Tumnus skulił się i nerwowo rozejrzał w poszukiwaniu kryjówki. Grover nadal stał w miejscu.

- Kosogłosy... - szepnął. Był tym wszystkim zachwycony.

Niebo pociemniało. Chmura ptaków zasłoniła cały nieboskłon. Obniżyły lot, zaczęły dziobać nas w głowy i szarpać za włosy.

- To zdziczałe stworzenia! – krzyknął Pan Tumnus. – Dlatego nas atakują?

Rozejrzałem się rozpaczliwie. Gandalf jak zwykle zniknął. Musiałem działać na własną rękę. I to szybko. Urwałem najbliższą gałąź, zerwałem z szyi szalik Panu Tumnusowi. Przywiązując szalik na krańcach gałęzi stworzyłem prowizoryczny łuk. Wyciągnąłem z kieszeni długopis – mój miecz Orkan. Nałożyłem go na „ciąciwę” i wystrzeliłem jak strzałę. Długopis zawsze wraca do mojej kieszeni prędzej czy później, więc nie muszę się o niego obawiać. Niestety była to jedyna strzała, jaką dysponowałem i teraz zostaliśmy bez żadnej broni. Ptaków przybywało. Nie mieliśmy żadnych szans.

Grover ubrał swoje tenisówki, złapał mnie i Pana Tumnusa za rękę i wzleciał w powietrze, a my razem z nim. Poruszaliśmy się dużo szybciej niż gdybyśmy biegli. Musieliśmy jednak o wiele bardziej uważać na ptaki.

W oddali zobaczyliśmy dużą zaspę śnieżną. Wylądowaliśmy na drzewie w pobliżu całkiem opadli z sił. Wtem błękitne światło wypłynęło zza zasy. Kosogłosa zanuciła i opadła na ziemię. Nie zaatakowały nas. Usłyszeliśmy donośny melodyjny głos:

- Szedł Sasza suchą szosą – rozpoznałem głos Gandalfa. Ale słowa, które wypowiedział nie miały dla mnie żadnego sensu.

- Szedł szasa? – odezwał się jeden Kosogłos. Po chwili odezwał się następny: Szedł Sasa... Po kolei każdy próbował, ale żaden z nich nie potrafił powtórzyć tego zdania poprawnie. Zaczęły się przekrzykiwać, wiercić, dziobać nawzajem. Kłóciły się coraz głośniejsze. Wtem Gandalf wykrzyknął następne bezsensowne słowa, ziemia pod Kosogłosami otworzyła się i wszystkie zniknęły w czeluści.

Zatkało mnie. Po chwili krzyknąłem z radości. To koniec. Uwolniliśmy się od straszliwych ptaszek.

W drodze powrotnej do szafy zagadnąłem Gandalfa:

- Czy „szedł sasza” to nie jest przypadkiem wierszykiem dla dzieci?

- Być może... Ale za to działa - uśmiechnął się tajemniczo i zniknął między futrami. Nie mogłem się doczekać nowej przygody z tym tajemniczym nauczycielem...

**Anna Musioł 2bG**